

Ławeczka Józefa Barana (23)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

22 marca

Barbara Czochralska o Ameryce:

„Czy Stachura znajdzie tu poezję? W tym kraju automatów, mechanizmów, praktycznego myślenia i rozsądnych ludzi. W tym kraju, gdzie dzieci rodzą się od razu kółkami mechanizmów. Gdzie wszyscy muszą działać, rozumować na tych samych obwodach elektronicznych. Spotykam tu Polaków do połowy jeszcze żywych, w połowie zamienionych w automaty o twardych mózgach”.

Gdzie indziej pisze o zautomatyzowanym życiu: „tu wszyscy są chłodni”...

2015

27 marca

Maszyny perfekcyjne, ale człowiek zawodzi. Przez błąd serca jednego człowieka (zawód miłosny) ginie sto pięćdziesiąt osób. Pilot w depresji popełnia samobójstwo, ale żeby było ono „dotkliwsze” (może dla jego dziewczyny), decyduje się zginąć razem z całą załogą i pasażerami samolotu odbywającego lot 9525. Wstrząsająca historia, z której można też odczytać przesłanie ogólniejsze – cywilizacja może być i jest coraz bardziej perfekcyjna, ale co z tego, skoro człowiek jest zawodny. Wyobraźmy sobie wariata-polityka, który postanawia popełnić samobójstwo z siedmioma miliardami na pokładzie samolotu Ziemia. Przecież to możliwe, wystarczy nacisnąć parę guzików...

Inna myśl: Na skutek kurczenia się duszy, od-człowieczenia człowieka i jego egoizmu – obsługa samolotu Cywilizacja też może pozostawiać

stawić wiele do życzenia. Postęp cywilizacyjny powinien iść w parze z postępem duchowym. Tylko zachowanie równowagi pomiędzy jednym a drugim może dać dobre efekty i nie doprowadzić do katastrofy.

DWIE MODLITWY

W Busku u Zosi, gdzie kępkami kwitną zawilce i fiołki, i gdzie Wojtek Belon (w rzeźbie) odpoczywa z gitarą przed domem kultury, a po drugiej stronie szosy Leszek Biały (brat Władysława Łokietka), który żył dłużej niż Wojtek, bo aż 49 lat, choć tęgo się bijał, stoi cały czas na baczność.

Cieszę się, że Zosia ma ładne mieszkanie i może spokojnie odpoczywać jeszcze tydzień po trudach pożycia w Krakowie z mężem poetą, który jest cholerykiem, po mamie Stefanii zresztą. Mongołka-irydolog przed domem wczasowym „Margoni” wypatrzyła w moim oku nerwicę, dyskopatię, niedyspozycję żołądkową i jelitową plus skłonność do tworzenia się kamieni w nerce. Przepisała mi i sprzedała kuleczki brązowe i ciemne na bezsenność, nerwicę i żołądek. Małe kłótnie, ale to u nas normalne, spaceruje. Busko piękne, ławki zachęcają do wspólnego obsiadania ich i nawet samotny pensjonariusz może się tu czuć jak w rodzinie. Dwa kościoły z modlącymi się. Kościółek z emerytami, którzy nieraz o kulach i na wózkach przystępują do komunii w nadziei, że kiedyś czas się odwróci i popłynie do źródła, a oni powstaną z martwych jako młodzi, zdrowi, piękni... Oczywiście na drugim świecie. Naprzeciw inny kościółek – restauracja z tancerzami szalejącymi wieczorem na parkiecie. Też się modlą, ekstatycznie dziękują za dar istnienia. Dwie modlitwy. Oczywiście w restauracji występują młodszy reprezentanci ludzkości, którzy jeszcze w śmierć nie wierzą. Wieczorem parkiet zapełniony, stoliki zapełnione.

DWIE MYŚLI

Pierwsza, że tradycja ma za sobą doświadczenia wielu wieków i pokoleń. Współczesność jest chwilką, której się wydaje, że nikt przed nią i nikt po niej nie będzie istniał. Druga: Trzeba uwierzyć, że życie ma puste miejsca, których nie należy niczym zapełniać (przecinkami, pauzami, wykrzyknikami, myślnikami).

RZECZYWISTOŚĆ W NAPARSTKU

Każdy z nas ma do dyspozycji naparstek którym usiłuje wyczerpać świat

Przez chwilę czyli w młodości nawet wierzymy że uda nam się to zrobić

26 czerwca-15 lipca

Borzęcin z przerwami na Kraków. Tłumaczyłem wiersze Kaługina, pisałem wstęp do „Twórczości”, gdzie publikuję moje listy od listy Erny i Artura Sandauerów.

SZKICE DO PORTRETU PANA ARTURA I ERNY

W porównaniu na przykład z takim Sławomirem Mroźkiem, dla którego korespondencja była jedną z literackich form i jedną z projekcji istnienia, Artur Sandauer traktował listy jako „PS” do życia. Korespondentem był nietęgim; zbyt niecierpliwym i zbyt „publicznym”, by dzielić się intymnościami w listach. Cały wychyłony na zewnątrz – realizował się raczej w wykładach, gwałtownych polemikach, w sztuce konwersacji („która”, jak powiadała, „upada”), w artykułach krytycznoliterackich czy przekładach. Dlatego nasza trzydziestoletnia znajomość, która z czasem przerosła się nawet w jakiś rodzaj zdystansowanej, ale nacechowanej serdecznością przyjaźni – w małym stopniu odzwierciedlała się w listach. Zbyt często spotykaliśmy się „na żywo”, rozmawialiśmy przez telefon, by listy nie zostały zepchnięte na margines. Jakość korespondencji często uzależniona jest od odległości dzielącej korespondentów. Mroźek mieszkał w Paryżu i nasze listy – wydałem je w książce pt. Scenopis od wieczności – bywały w tamtych czasach jedyną formą kontaktu, Sandauer mieszkał „tylko” w Warszawie. Do Warszawy jeździłem wtedy stosunkowo często i stosunkowo często gościłem u Artura w jego mieszkaniu na Karłowicza, gdzie mogłem zawsze liczyć na nocleg i wieczorną rozmowę o Gombrowiczu, Schulzu, Białołęce, Leśmianie i w ogóle o literaturze przez duże (i małe) „l”. Przy zastawionym stole milcząc, ale życzliwie krzątała się Erna, która czasem zapraszała mnie do swojej pracowni malarskiej, by pokazać mi nowe kolaże. Obydwoje kilkakrotnie odwiedzili mnie w Krakowie, gdzie Artur czytał swoje przekłady z Rilkego. Spotykaliśmy się ponadto w Zakopanym (w zaikowskim hotelu „Halama”), na warsztatach literackich w Giżycku, które prowadziliśmy wspólnie, czy na festiwalach poetyckich między innymi w Łodzi.

Można rzec, że stałem się z czasem nieomal „domownikiem” Erny i pana Artura, którego niektórzy traktowali w tamtych czasach jako srogiego cesarza krytyki, gdy ja tymczasem widywałem go w szlafrokach, w piżamie, podkradającego z półmiska plasterki kielbasy (a było to mu, jako diabetykowi, zakazane) czy tłukącego się po mieszkaniu jak nocny Marek (miał kłopoty z zasypianiem). Uważałem go za osobę mi bliską, a nawet – ze względu na różnicę wieku – za kogoś w rodzaju mojego przybranego ojca intelektualnego, bo przecież z moim ojcem-chłopem nigdy nie mogłem pogadać o tym, co mnie pasjonowało – o książkach... Miałem szczęście – jak mi mówił Sandauer – poznać go już „w złagodzonej wersji”, co nie znaczy, że nasza przyjaźń przekraczała granice poufałości. Zbyt był przywiązany do form, które zresztą – o paradoksie – często jako krytyk i człowiek – przekraczał i łamał...

cdn.